

## Kto chce czynić miłość musi patrzeć sercem...

*(II Miejsce w Ogólnopolskim Konkursie „Rodzina Zastępcza Roku”)*

To jest mądrość, którą trzeba się kierować w wychowywaniu dzieci odrzuconych! Sama jestem takim odtrąconym dzieckiem. Wychowywała mnie siostra mojej matki, a o parę ulic dalej mieszkała moja prawdziwa rodzina. Do dziś zadaje sobie pytanie, dlaczego? Moja mama nigdy mi tego nie wyjaśniła. I nikt mi już tego nie wyjaśni, ponieważ wszyscy nie żyją. Nie ma jednak we mnie żalu. Mam jeszcze dwójkę rodzeństwa, które wychowywało się u rodziców. Na szczęście nie jesteśmy sobie obcy i utrzymujemy bardzo dobre stosunki. Moją osobowość, charakter i postrzeganie świata ukształtowali ukochany dziadek oraz ciocia, która zawsze była przy mnie. Zarówno ja, jak i moje dzieci uważamy ciocię za świętą. Dziś mam 55 lat, ale w myślach wciąż odwołuję się do ich postępowania.

Mój mąż nie był hołubionym dzieckiem swoich rodziców, mimo że mieli jedynie dwóch synów. Tylko brat męża był dla nich oczkiem w głowie. Nie przeszkodziło nam to w zabraniu na starość teścia pod swój dach, kiedy ukochany syn oddał go do zakładu opiekuńczego. Dlaczego tak postąpiliśmy? Ponieważ obydwójce jesteśmy ludźmi głęboko wierzącymi. To wiara oraz wskazówki naszego Wielkiego Przewodnika Papieża Jana Pawła II nie pozwalają nam czynić inaczej.

Oboje wiemy, ile potrzeba miłości, żeby wychować dzieci dobrze i w poczuciu bezpieczeństwa. Bo nie po bogactwie życia materialnego będziemy oceniani. Zawsze z mężem staraliśmy się pomagać ludziom na różne sposoby, ale los pokrzywdzonych dzieci był nam szczególnie bliski. W duchu niesienia

pomocy wychowaliśmy własne dzieci.

Kiedyś mieszkaliśmy na wsi, mąż był kierownikiem gorzelni, a ja wychowywałam dzieci. Pomagała mi ciocia, która zawsze z nami mieszkała. Pozostała przy nas do końca. Do śmierci. Choć dożyła dziewięćdziesięciu lat i zmarła zaledwie trzy lata temu, to w naszych sercach wciąż tkwi pustka i ból. Nikt nie jest w stanie jej zapełnić. Dzięki niej w życiu zawsze służyłam radą i pomocą wszystkim, którzy o to prosili, również tym, którzy z jakiś powodów byli skrupowani o nią prosić. Sama ją ofiarowywałam. Nauczyłam tego swoje dzieci, które zawsze potrafiły dzielić się z innymi. Zabierały ze sobą dodatkowe kanapki do szkoły, dla dzieci, które ich nie miały. Znalismy wszystkich kolegów i przyjaciół naszych pociech.

Nasz dom zawsze był otwarty, pełen ruchu i rozrabiających dzieci. Było ich dużo, a nam nigdy to nie przeszkadzało i wspaniale się wśród nich czuliśmy. Kiedy nasz syn zabierał dodatkowo sześć kanapek spytałam:

*- Synku czy to możliwe, żeby tyle dzieci nie miało ze sobą drugiego śniadania?*

*- Mamusia w naszej klasie jest Paweł, wiesz który, jego mama jest w szpitalu, a on jest tylko z dziadkiem. To właśnie jemu dają kanapki, połowę zjada sam, a połowę zanoszą dziadkowi.*

Zaopiekowaliśmy się chłopcem, którego mama leżała poważnie chora w szpitalu. Daleko, bo w Warszawie, walczyła z chorobą nowotworową, a on został pod opieką staruszka - osiemdziesięcioletniego dziadka. Przychodził prosto ze szkoły z naszymi dziećmi na obiad, zabierał ciepły posiłek dziadkowi i nie musiał już więcej chodzić w cienutkich adidasach po śniegu. Do czasu kiedy mama nie wróciła ze szpitala.

Dzięki tej historii nie było dla nas czymś nieznanym to, czego doświad-

czyliśmy sporo lat później. W lutym 2001 roku zadzwoniła do mnie znajoma, z którą poznaliśmy się poprzez wspólnie prowadzone interesy. Poinformowała mnie o swojej bardzo ciężkiej chorobie nowotworowej. Wiadomość spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. Była osobą młodą, miała zaledwie 51 lat. Wiedziałam, że samotnie wychowuje syna. Pocieszałam ją:

- *Danusiu nie martw się, Pan Bóg nie może tego zrobić, bo co będzie z Szymkiem?*

- *No właśnie...będzie musiał iść do domu dziecka* – usłyszałam w słuchawce.

- *Chyba, żeby mnie nie było na świecie!* – moja odpowiedź była odruchem serca.

Choroba trwała osiem miesięcy. To głównie na mnie spadł obowiązek częstych wyjazdów do Warszawy, czasem trzy razy w tygodniu. Bywało, że czuła się bardzo źle i dzwoniła o trzeciej godzinie w nocy. Wtedy wsiadałam w pociąg, nieważne która była godzina, i jechałam do Warszawy. Mąż wtedy musiał zająć się dziećmi i całym domem. Nie narzekał. Danusia (mama Szymka) zmarła 30 września 2001 roku. Ponieważ była osobą samotną, na mnie spadł bardzo smutny obowiązek urządzenia pogrzebu. To ja musiałam otrzeć łzy dziecka, które bardzo kochało swoją mamę. Czwartego października, w strugach deszczu odbył się pogrzeb. To niebo płakało razem z nami.

Dzień wcześniej wydarzyło się coś, czego powinien doświadczyć człowiek, aby zrozumieć ile szczęścia i łez radości może dać dziecko nie urodzone przez nas. Otóż Szymek spytał czy może na chwilę wyjść z domu. Z duszą na ramieniu zgodziłam się. Prosiłam tylko, żeby to nie była długa chwila. Rozumiałam bowiem chęć bycia zupełnie samym. Faktycznie, chwila nie była długa, może pół godziny. W rozpaczy i zabieganiu zapomniałam, że

to był dzień moich imienin, a mój Szymek (bo już mój) wszedł do domu z pudełkiem i oświadczył:

*- Ciociu, przecież dzisiaj są Twoje imieniny. Nie miałem dużo pieniędzy i starczyło tylko na pół tortu.*

To był najwspanialszy tort jaki jadłam w swoim życiu! Smaku nie zapomnę nigdy. Za chwilę pojawiła się sąsiadka z kwiatami i tak spędziliśmy moje bardzo smutne i zarazem piękne imieniny.

Do naszej rodziny trafiło nowe dziecko. Był jedynakiem, bardzo kochanym i wychowywanym samotnie przez swoją mamę. To wychowywanie było jednak egoistyczne. Zupełnie świadomie mama Szymka dążyła do tego, aby jej dziecko potrafiło myśleć tylko o sobie. Uważała bowiem, że takim ludziom żyje się znacznie łatwiej. Kiedy zmarła, Szymek przyszedł do nas, a przed nami stało niezwykle trudne zadanie. Musieliśmy ukoić ból, wściekłość, strach, uleczyć zupełną niezaradność życiową (Szymek całe życie miał opiekunki, które wyręczały go we wszystkich czynnościach) i sprawić, aby wszystko wróciło na właściwy tor. Odmienić młodego człowieka, który powinien być wrażliwy, dostrzegać krzywdę innych i nieść pomoc tym, którzy tego potrzebują.

Największy lęk wzbudzało w nas to, czy zdołamy scementować rodzinę tak, żeby Szymek ani przez moment nie poczuł, że jest wśród obcych, a nasz własny, młodszy o rok od Szymka syn Piotr, że jest mniej ważny. Okazało się to wcale nie takie trudne. Troje z naszych dzieci było już dorosłymi ludźmi. Dwoje miało własne rodziny. Tylko jeden syn nie był jeszcze w pełni samodzielny. Studiował. Najtrudniej miał Piotr, gdyż była to dla niego nowa i bardzo trudna rzeczywistość.

Codienne życie wyglądało tak, że Piotr przychodził do mnie i mówił:

- *Mama, a Szymek to ciągle by chciał być tylko z Tobą i nie chce się niczym podzielić.*

- *Synku, wiesz jak bardzo Cię kocham, tak bardzo, że żebyś był z nami leżałam pięć miesięcy w szpitalu, abysmy Ciebie mieli. Musisz zrozumieć Szymka. On już nie ma mamy i to my musimy mu stworzyć nową rodzinę. Podjęliśmy się tego zadania. Zastanów się jak wyglądałoby Twoje postępowanie gdybyś to ty był na jego miejscu.* – odpowiadałam mu wtedy.

Z Szymkiem też wielokrotnie siadałam i rozmawiałam. Mówiłam: *Wiem synku jak Ci ciężko, wiem co czujesz. Wiedz, że nie chcę zająć miejsca mamy w Twoim sercu, tam jest jej miejsce, ale w małym skraweczku serca musisz zmieścić nas, bo przecież widzisz jak bardzo Cię kochamy.*

Oczywiście zdarzało się nieposłuszeństwo, wybuchy niezrozumiałych złościwości. Natomiast kiedy niechcący popchnął babcię, a ta złamała rękę to usłyszał z jej ust słowa pocieszenia, że nic się nie stało, że ręką się zrośnie i będzie w porządku. Nie odczuwała żalu czy gniewu. Do mnie powiedziała, abym się na niego nie denerwowała, bo nie chciał zrobić jej krzywdy. Do tego wszystkiego przecież to dziecko już nie ma matki!

Przez kolejne lata starałam się wyplenić egoizm z serca Szymka. Powtarzałam często: *„...nie możesz być egoistą w stosunku do Piotrka, bo podzielił się z Tobą najdroższą rzeczą jaką ma na świecie, swoimi rodzicami.”*

Dzisiaj śmiało mogę powiedzieć, że udało się! Jeżeli egoista, który był pępkiem świata, sześć lat później chce ofiarować innym zbudowany dla niego dom, to już wiemy jak teraz postrzega świat, że wie czym jest dobroć i poświęcenie dla drugiego człowieka.

Doświadczenie jakie zyskaliśmy dzięki Szymkowi sprawiło, że od roku żyje z nami pięcioro nowych dzieci z Domu Dziecka. Wszyscy na pewno

zdają sobie sprawę z tego, co oznacza życie w placówce. Nie pomogą akcje szumne w nazwie, jeżeli ktoś naprawdę nie będzie chciał zlikwidować tych strasznych miejsc.

Pewnego dnia, kiedy mieliśmy już kwalifikacje do prowadzenia zawodowej rodziny zastępczej, pojechaliśmy do placówki, żeby wziąć dzieci. Przeżyliśmy szok! Do końca życia nie zapomnimy jak wyglądała „prezentacja” dzieci, które zakwalifikowane są do wzięcia. Wracając samochodem do domu musieliśmy się zatrzymać. Każde z nas milczało i oboje płakaliśmy. „*Posłuchaj*” - powiedział mąż - „...*weźmiemy dzieci nie mające szans na normalny dom i żadne inne kryteria nie wchodzi tu w grę.*” Myślałam tak samo. W końcu jesteśmy małżeństwem i w niewielu kwestiach mamy odmienne zdanie. Po tej rozmowie wracaliśmy do domu czując wielką ulgę, mimo iż czekało nas kolejne trudne zadanie.

Jako pierwszy przyszedł do nas Maciek, dwunastoletni chłopiec. Miły, sympatyczny z „łobuzerskimi” ognikami w oczach. Samotnie wychowywała go mama. W jego rodzinnym domu poza mamą mieszkało jej rodzeństwo i babcia. Wszyscy chorzy na schizofrenię, do której dochodził spożywany w nadmiernej ilości alkohol. Chłopiec w placówce przebywał co prawda tylko rok, ale w swym rodzinnym domu musiał dbać sam o siebie. W rzeczywistości był dzieckiem ulicy.

Rodzice dzieci umieszczanych w placówkach, szczególnie matki, ale oczywiście nie wszystkie, w pewnym momencie zaczynają zdawać sobie sprawę z tego, że tracą dzieci. Tę chwilę „przebudzenia” należy wykorzystać, aby zbliżyć do nich dzieci. To właśnie jest zadanie dla rodzin zastępczych! Żadna placówka nie jest w stanie tego realizować. My stosujemy zupełnie inną strategię niż ta, jaką stosują mądre psychologiczne głowy z placówek.

Spotkania mam z dziećmi w placówkach to wielkie nieporozumienie, bo choć często ciepło, to brak tam intymności. Dziecko rzadko siada mamie na kolanach, gdyż staje się to tematem drwin i żartów ze strony kolegów, szczególnie starszych. Niejednokrotnie słyhać słowa w stylu: „zostawiła Cię, a Ty do niej idziesz”. Normalne zachowanie przez dzieci z domu dziecka jest postrzegane jako „podlizywanie się”. Nie zdają sobie nawet sprawy z tego, że przemawia przez nie zazdrość i rozpacz. Zadają sobie pytanie, dlaczego to nie ich odwiedziła mama?

Plusem odwiedzin matek w rodzinach zastępczych jest większa prywatność, jednak nie jest to jeszcze tym, czego potrzeba najbardziej, aby nawiązać powtórnie więź. My poszliśmy o krok dalej – zawoziliśmy naszego Maćka do domu mamy. Początkowo mąż pozostawał w samochodzie, a on szedł się przywitać z rodziną. Uważamy, że tylko dom rodzinny ma w sobie taką magię i nieistotne jest to, że biedny, brudny i nieprzyjazny. Skąd ta pewność? Otóż dla mnie, dziecka odrzuconego, mimo wszystko dom był czymś świętym, najważniejszym na całym świecie!

Po godzinie pobytu Maciek wracał do nas. Kiedy ostygły emocje długo z nim rozmawialiśmy. Dziecko nie miało poczucia wartości pieniądza. Uważał, że jak mama w upojeniu alkoholowym, chcąc złagodzić swoje poczucie winy, dawała mu np. trzysta złotych, to można te pieniądze wydać w jednej chwili. Jadąc do domu zastawał nadal biedny dom i nie zawsze czysty. W placówce nie wpaja się dzieciom cechy bardzo ważnej w życiu dorosłym, jaką jest oszczędność i dbałość o rzeczy własne i cudze. U cioci niestety wymaga się takich zachowań, które nie pozwalają na bezmyślne niszczenie przedmiotów.

Rozmowy o tym, jak to mamie ciężko materialnie, bo ma tylko czterysta

pięćdziesiąt złotych zasiłku chorobowego, nie przynosiły skutku. W czasie trzeciej wizyty u mamy nasz Maciek zadzwonił (oczywiście ze swojej komórki) mówiąc: „...ciociu jak Ty robisz ciasto na naleśniki? Są takie pyszne, a mama chce mi takie zrobić.” Podałam przepis, a mama zrobiła. Po wizycie opowiadał jak było fajnie, a naleśniki mamy były jeszcze lepsze niż moje. Powiedziałam mu: „Zobacz jak mama się stara.”

Pewnego dnia wrócił do nas od mamy i zaraz po wejściu biegiem wszedł do pokoju, w którym właśnie odpoczywałam i rzucił mi się na szyję mówiąc: „Ciocia stęskniłem się za Tobą!” Poczułam wtedy przez krótką chwilę ukłucie zazdrości, ale szybko wytłumaczyłam sobie i powiedziałam w duchu: „...i to ci musi wystarczyć, bo tam jest jego mama”

Maciek jest dzieckiem, które lubi robić zakupy, zwłaszcza te, na które jego mamy nie stać. Kiedyś namówił ją na zakup grilla, kosztującego sto pięćdziesiąt złotych. Oczywiście, że fajnie jest mieć grill, ale nie musi być rzecz jasna za taką sumę, zwłaszcza przy tak niewielkich dochodach. Chciałam dobrze to wytłumaczyć Maćkowi. Znalazłam pewien sposób. Poprosiłam go, by poszedł do sklepu po zakupy. Zgodził się chętnie. Dałam mu dwanaście złotych i powiedziałam, aby kupił kilogram cukru, kilogram mąki, jedną kostkę masła, chleb i cztery zielone ogórki. Mały wrócił i stwierdził ze zdziwieniem w głosie, iż nie wystarczyło mu na wszystko. Odpowiedziałam mu: „No popatrz, jaka drożyzna, a czy wiesz, że Twojej mamie musi to wystarczyć na całodzienne wyżywienie?” Dopiero wtedy dotarło.

Dziś Maciek odwiedza mamę raz w miesiącu. Jego naturalna ciocia (siostra mamy) pracująca i żyjąca za granicą pomogła w uporządkowaniu ich domu, zapłaciła za remont i kupiła m. in. meble, sprawiając tym samym, iż stał się on przytulniejszy i lepszy do zamieszkania. Największym jednak



sukcesem w tej rodzinie jest to, że mama Maćka nie pije i poddała się leczeniu odwykowemu. Wszystko zmierza ku temu, by chłopiec w przyszłości z nią zamieszkał.

Drugim dzieckiem, które do nas trafiło była czternastoletnia dziewczynka. Po roku wróciła do swej biologicznej rodziny. Zdawało się nam, że z nią będzie najtrudniej, ponieważ miała lekarskie orzeczenie o niepełnosprawności psychicznej i dość nieprzyjemną przypadłość – nocne moczenie. Mąż przywiózł ją do nas z Łodzi, prosto ze szpitala psychiatrycznego w którym przebywała w związku z próbami samobójczymi. Ania od razu nas zaakceptowała i polubiła, choć uwagi na temat higieny osobistej przyjmowała z oburzeniem. Ja jednak nie ustępowałam. O ile jej stan psychiczny według lekarzy się poprawił, o tyle co do moczenia ponieśliśmy klęskę. Wizyty u psychiatry nie pomogły nam w zwalczeniu tego problemu.

Dziewczynka przychodząc z domu dziecka miała przepisane wiele lekarstw, których nie chciała przyjmować, a które źle na nią działały. Szybko to zauważyłam, ponieważ ciągle była senna i otepiała. Tuż po konsultacji z lekarzem postanowiłam je odstawić, co było bardzo dobroczynne w skutkach. Ania zaczęła wracać do rzeczywistości, powoli zaakceptowała nową szkołę, do której dojeżdża z Kutna. Jest to gimnazjum na wsi. Chodzili do niego Piotrek i Szymek. Szymek ze względu na to, że był po traumatycznych przeżyciach i potrzebował serdeczności oraz akceptacji, a Piotrek ponieważ nie chcieliśmy z mężem, aby Szymek sądził iż traktujemy swoje dzieci inaczej. Do dziś dziękuję Bogu za to, że tam poszli. To szkoła, w której nauczyciele są wspaniali, a i wiejskie dzieci są inne od tych z miast. Bardziej otwarte, mniej zmanierowane, ciężko pracujące, przez co im nie w głowie papierosy, alkohol czy narkotyki. Krótko mówiąc świetna szkoła! Dowód? Obaj chłopcy

świetnie poradzili sobie w szkołach średnich. Szymek zdał maturę jako drugi w szkole spośród młodzieży zdającej poziom podstawowy. Kiedy Piotrek kończył naukę w gimnazjum otrzymał od swojego wychowawcy wskazówki na dalsze życie. Nie łatwo zbroczyć z dobrej drogi po takich życzeniach.

Wracając do Ani, to wszystko szło nam gładko poza tym nocnym moczeniem, które nie dawało nam spokoju. Dziewczynka odwiedzała swój rodzinny dom. Babcia często dzwoniła i pytała czy Ania może przyjść. Zgadaliśmy się na to, choć dyskretnie obserwowaliśmy rodzinę. Po ośmiu miesiącach pobytu Ani u nas, zauważyliśmy zmianę w jej zachowaniu. Powroty z domu rodzinnego stawały się coraz trudniejsze a ona wracała tak jakby „szła na ścięcie”. Idąc na autobus, którym jeździła do szkoły, wstępowała do domu mamy i robiła to samo podczas powrotu. Coraz częściej i bardziej otwarcie opowiadała nam jak zmienił się jej dom. Wtedy nadeszło olśnienie.

Zaczęłam się zastanawiać, czy to nocne moczenie nie jest spowodowane wewnętrznym rozdarciem? Kiedy do nas przychodziła najbardziej zależało jej na tym, aby mama nie miała do niej pretensji o to, że idzie do rodziny zastępczej a teraz pojawiła się ta ogromna chęć powrotu do mamy. Jak może się czuć dziecko, które jako jedyne ze swojego rodzeństwa było odtrącone od matki? Przecież jej bracia i siostry byli już w domu. W czym jest od nich gorsza? Co prawda starsza siostra pozostała w placówce lecz urodziła dziecko i miała chłopaka, w związku z czym stała się przez nią postrzegana jako już inna rodzina.

Poprosiliśmy Panią z PCPR o opinię i pomoc. Wszyscy doszliśmy do jednego wniosku. Ania powinna wrócić do mamy. Pani sędzia sądu rodzinnego uważała podobnie. Jak dobrze jest mieć za sobą taki sąd rodzinny, którego przedstawiciele są wyjątkowo mądrymi i oddanymi dzieciom kobietami,

mimo bardzo małej ilości czasu, zawsze służące rozmową i radą. My z mężem nie uważamy, że pozjadaliśmy wszystkie rozumy i z uwagą oraz chęcią rozważamy każdą mądrą radę.

Ania wróciła do mamy. Zyskała opiekę kuratora, a my większy spokój o jej los. Rozstaliśmy się w przyjaźni. Razem z mamą przyszła zabrać swoje osobiste rzeczy. Brak słów by opisać to, co czuje człowiek którego wysiłek i praca włożona w scalenie rodziny się opłaciła. Jesteśmy w siódmym niebie! Właśnie teraz, gdy piszę te słowa, Ania przyszła do nas w odwiedziny ze swoją malutką siostrzenicą. Przejęta słucham jej wyznań: *„Ciocia wiesz, mama kupiła mi szafę i komodę! (...) powiedziała, że nareszcie po tylu latach może coś dla mnie zrobić.”*

Osobną kartę historii naszej rodziny stanowią następne dzieci, rodzeństwo, Beata i Wojtek. Dziewczynka jest upośledzona psychicznie w stopniu lekkim a jej brat – w stopniu znacznym z cechami autyzmu. Jak nikomu na świecie, właśnie im był potrzebny spokojny dom, pełen miłości, gdzie nikt nie wyśmiewa ludzkiej inności. Byli w placówce od 2001 roku. Kiedy do nas przyszli, byli jak dwa zaszczone zwierzątka. Beata ze strachem w oczach, a Wojtuś tak skulony, że myśleliśmy, iż to wada kręgosłupa. Dzieci szybko się jednak zaaklimatyzowały. Ich rodzice rozstali się. Mama również jest upośledzona w stopniu lekkim. Powodem odebrania dzieci nie był alkohol, lecz kompletna życiowa niezaradność, a także nieprawdopodobny brud. Sumiennie odwiedzała swoje dzieci w placówce, zawsze coś im przynosząc. Zabierała dzieci do siebie na soboty i niedziele.

Z powodu okrucieństwa i zazdrości innych dzieci, Wojtek i Beata często byli wyśmiewani i poszturchiwani. Chłopiec znosił to gorzej, często zdarzało się, że demolował na przykład łazienkę. Wiedziałam, że to krzyk rozpaczy,

a nie chuligańskie wybryki. Miał także zwyczaj noszenia ze sobą torebki, w której zbierał swoje skarby – szmatki, gumki, stare klucze. Inne dzieci mu ją zabierały i chowały. W dniu, w którym opuszczali Dom Dziecka, Wojtuś nie chciał przyjechać z mężem. Pojechalśmy więc razem. Podał mi rączkę, uśmiechnął się i wsiadł do samochodu.

Beatka i Wojtek uczęszczali do szkoły specjalnej. Beatka nie sprawiała żadnych problemów. Pięknie ubrana w nowe ubranka czuła się kimś ważnym. Była dumna z tego, że wujek przywozi ją i odbiera ze szkoły samochodem, zupełnie jak dzieci, które mają normalny dom.

Wojtuś, będąc w placówce, do szkoły był wyciągany siłą. Nam też nie udało się go wyprawić do szkoły – jego reakcją był przeraźliwy, paraliżujący krzyk. Pojechalśmy we dwoje usprawiedliwić nieobecność Wojtka. Pani wychowawczyni powiedziała nam: „*Proszę Państwa, Wojtek przychodził z placówki do szkoły i siedział w kącie, nie uczestniczył w zajęciach.*” Pomyślałam sobie wtedy - krótka piłka – jak mówią chłopcy. Załatwimy nauczanie indywidualne. Po roku nauki Wojtuś osiągnął bardzo wiele, okrzepł i ze skulonego chłopca, który mówił tylko pojedyncze słowa, wyrasta mężczyzna, który wkrótce będzie się golił. Zaczyna mówić całymi zdaniami, a krzyki już się nie powtarzają. Panie nauczycielki mówią, że przez rok zrobił tyle co w dwa lata. Jest kochany i jak czasem usłyszy nasze rozmowy o placówce mówi: „*Ciocia, nie do domu dziecka?*” Mówię mu wówczas: „*Synku nie bój się! Ty już tam nigdy nie wrócisz!*” Zdarza się, że jestem zmęczona do zenitu i proszę dzieci by były ciszej bo mnie boli głowa, wtedy Wojtuś mówi to słodko brzmiące słowo „tak”, wspina się na palce i wychodzi z pokoju. Jak nie kochać i nie poświęcać trudy dnia codziennego dla niego i reszty? Choć my naprawdę bardzo kochamy te dzieci, to wiemy, że ich miejsce jest w ro-

dzinach naturalnych.

Ostatnio zastanawiałam się jak pomóc mamie Beatki i Wojtusia, gdyż teraz jak poczuła, że jej dzieci są bezpieczne i kochane, odwiedza je rzadko. Beatkę wozimy w odwiedziny, ale Wojtek nie chce nawet słyszeć o wizycie u mamy. Wszystkie dzieci wiedzą i czują, że to co im okazujemy jest prawdziwe i nie ma w tym odrobiny fałszu. Nigdy nie kłamiemy i jeśli coś obiecujemy to zawsze dotrzymujemy słowa.

Mama rodzeństwa jest niezaradna, ale zanim Beatka dorośnie to się zmieni. Zresztą wychowuje ona ich siostrzyczkę i braciszka. Co do Wojtka to na dzień dzisiejszy zdaje mi się, że zostanie z nami i jeżeli kiedyś nie daj Boże nas zabraknie to któreś z naszych dzieci otoczy go opieką.

Najtrudniejszą kwestią pozostają finanse. Pracując jako mama zastępcza zarabiam niewiele bo 1 340 zł. Mąż musiał zwolnić się z normalnej pracy, bo trudno było pracować na etat kiedy trzeba dzieci zawozić do szkoły. Szkoła Beatki mieści się na drugim końcu miasta, a Wojtusia nie można zostawić samego nawet na chwilę, gdyż mieszkamy na czwartym piętrze. Małżonek musiał zatem podjąć pracę, która nie kolidowała z dobrem dzieci, bo ich dobro w naszym domu to najwyższa i najważniejsza misja. Tak, śmiało możemy to nazwać misją.

Mąż zajął się kolportażem prasy. Pracuje w nocy, wyjeżdża z domu o drugiej, a wraca o szóstej rano. To on przygotowuje dzieciom śniadanie i rozwozi do szkoły. Gdy wraca do domu odsypia, a ja wtedy sprzątam, robię zakupy i gotuję obiad. Dzieci wracają około godziny czternastej i wówczas czeka już na nie ciepły posiłek. Czasami jestem zmuszona dzielić obiad na trzy porcje, gdyż starsze dzieci wracają później, a chcę by każdy miał świeże jedzenie. Tak bardzo się cieszę, kiedy widzę jak wszystko szybko znika z talerzy! Go-

towanie jest moją pasją i przyjemnością, a to też ważny atut w tworzeniu szczęśliwej rodziny.

Mimo wielkiego optymizmu finansowo żyje się ciężko, ale znam bardzo wiele rodzin, którym żyje się jeszcze trudniej. Tym, co mamy, potrafimy się dzielić z innymi i tego uczymy wszystkie nasze dzieci.

Jak trudne jest wychowanie dzieci, wszyscy wiedzą ale nasza zasada jest dość prosta. Nigdy nie sięgamy po „środkie”, które nazywamy karą. Mądrze prowadzoną rozmową można osiągnąć więcej, ba wszystko! Należy tylko bardzo kochać, potrafić zrozumieć czym było spowodowane złe zachowanie. Choć Wojtuś czasem się zanieczyści, to budzi tym faktem większą odrazę u jego siostry niż u nas. Jesteśmy pewni, że i ona nauczy się miłości, która potrafi zrozumieć takie zachowanie.

Na początku wspomniałam, że mamy sześcioro dzieci. Na koniec zostawiłam opisanie życia jeszcze jednego naszego dziecka, które przybyło do nas 2006 roku na prośbę PCPR. Proszę oto dowód jak szybko się na nas poznali! Widzą, iż w naszej rodzinie są trudne dzieci, ale wszystko tak dobrze gra.

Grzegorz, bo o nim teraz napiszę, zamieszkał z nami w lipcu 2006 roku. Po roku pojawiły się zmiany, oczywiście na lepsze. Choć chłopak jest trudny, źle znosi rady, buntuje się, ale ja już mam swoje sposoby. Potrafię żartem osiągnąć to co zamierzałam. W jego życiu to najbliżsi ludzie zgotowali mu tę Golgotę. Mama Grzesia ma drugie dziecko, córkę o imieniu Natalia, która z nią mieszka i jest przez nią wychowywana. Co musi czuć serce tego chłopaka?! Chyba to samo co moje. Ja byłam w podobnej sytuacji, ale mnie wychowywała ciocia i dziadek, którzy bardzo mnie kochali, natomiast Grzesia odrzucili nawet dziadkowie. On jednak bardzo kocha dziadka, pamięta

o imieninach, odwiedza. Kiedy pojawił się u nas przypominał naciągniętą strunę. To był pierwszy taki przypadek jaki widziałam na oczy. Pewnego razu, gdy wrócił z wakacji, gdzie mieszka jego naturalna ciocia, przyszedł do mnie ze smutkiem na twarzy, bo ciocia nie chciała mieć go dłużej u siebie. Przytuliłam go do siebie i doznałam szoku! Nigdy wcześniej nie widziałam człowieka sztywnego niczym deska i twardego jak mur.

Ze wszystkich dzieci narobił najwięcej szkód materialnych i co więcej nigdy się do nich nie przyznał. Dziś jednak już tak nie jest, bo potrafi przeprosić ze łzami w oczach. Kiedyś, po dwóch zdaniach jego przeprosin powiedziałam: „*Synku, wszystko już w porządku, nie denerwuj się!*” On doprowadził mnie do śmiechu mówiąc: „*Ciociu! Całą noc układałem mowę z przeprosinami, a Ty po dwóch zdaniach już mi wybaczasz?*” To właśnie jest prawdziwa miłość, taka że nawet Grześ jej nie umie zepsuć.

W naszej rodzinie wszyscy dostają tyle samo miłości, nigdy nie brakuje żywności, dzieci chodzą zawsze czysto ubrane. Nie zdarzyło się by musiały chodzić w ubrudzonych strojach. Nie zdarzyło się tak nawet kiedy zepsuła się pralka, a zakup nowej przekraczał możliwości finansowe. Wówczas wyciągnęłam z piwnicy starą „Franię” i ręcznie prałam ubrania dziewięciu osób. Jestem bowiem osobą, która nie daje łatwo za wygraną i nie boi się nowych wyzwań.

Takim wyzwaniem było przygotowanie Świąt Bożego Narodzenia, bowiem do stołu wigilijnego zasiadło nas dziewięcioro domowników. Wszystkie nasze naturalne dzieci z rodzinami a także chłopiec, właściwie już dorosły, Zbyszek, który uczęszcza do szkoły specjalnej, tej samej do której chodzi Beatka. Mieszka w internacie, jest zupełnym sierotą i nie miał się gdzie podziać na święta, więc przygarnęliśmy go do siebie. Przyszedł do nas jeszcze

przed świętami i jako pełnoletniego, dorosłego człowieka nie mogliśmy go ograniczać. W związku z tym Zbyszek wybrał się do sklepu. Po godzinie zadzwonił telefon z marketu. Usłyszałam w słuchawce: „*Proszę Pani, jest u nas chłopiec, który twierdzi, że przebywa u Was. Dopuszczał się kradzieży petard.*” Mąż natychmiast pojechał wyjaśnić sprawę. Okazało się, że tym chłopcem był właśnie Zbyszek. Po uregulowaniu należności wrócili razem do domu. Podejrzewam, że większość ludzi nie chciałaby słuchać wyjaśnień chłopaka i z pewnością kazano by mu się wynosić. My jednak jesteśmy ludźmi, którzy nie przekreślają kogoś, kto popełnił błąd. Odbyliśmy wspólnie długą rozmowę. Jaki był jej skutek? Przeprosiny i przyrzeczenie poprawy. Ponieważ wydarzenie miało miejsce w Wigilię, a naszym rodzinnym zwyczajem jest wspólne ubieranie choinki, szybko zajęliśmy się radością z ubierania drzewka i o wszystkim zapomnieliśmy.

Kolacja wigilijna była niezwykle udana, zgodnie ze zwyczajem panującym w naszym domu było dwanaście potraw, które zostały skrupulatnie przeliczone przez dzieci. Później były prezenty i roziskrzzone oczy dzieci. Myślę, że na długo w ich pamięci pozostanie obraz takich, rodzinnych świąt. Mimo, iż przygotowania do świąt tj. sprzątanie i gotowanie kosztowały mnie wiele pracy i wysiłku, było warto. W tamte święta uświadomiłam sobie, że pomimo swoich lat, mam w sobie jeszcze wiele siły i to dało mi wiarę w to, że ze wszystkim sobie poradzę. Być może dlatego po odejściu Ani zdecydowałam się przyjąć pod nasz dach malutkiego, pięcioletniego Maksa.

Chłopczyk jest z nami od miesiąca. Ile w niego trzeba włożyć pracy...! Mały, mając pięć lat waży osiemnaście kilogramów! Toż to skóra i kości! Kiedy się potknął i przewrócił na dywanie, złamał rękę. Kompletny brak mięśni. Ale po to jesteśmy, żeby to zmienić. Maks bezustannie uwieszony



jest na szyi. Musi chodzić wszędzie z cicią i wujkiem. Bywa to męczące, ale nagrodą jest dla nas to, że wystarczyły tylko dwa tygodnie w naszym domu, aby Maksiu w pełni się zaaklimatyzował i odżył. Do życia w placówce nie mógł się przystosować przez trzy miesiące. Oby Bóg pozwolił nam wychować jeszcze jego, a właściwie to dlaczego nie? Choć wzbudza największą zazdrość wśród moich wnucząt to staramy się, jak tylko możemy, by pokochały go jak brata. Nasze rodzone dzieci przywożą do nas do domu wnuczeta i wszyscy spędzamy razem wspólnie czas, bo nie wyobrażam sobie, by mogło być inaczej. Nie dopuszczam do siebie myśli, żeby wnuki poczuły się odepchnięte.

Maks sprawił, że nasz dom jest jeszcze weselszy, a nierzadko dochodzi również do komicznych sytuacji. Na przykład parę dni temu poprosiłam męża by mnie podrapał po plecach a mały zaczął wtedy wołać z drugiego pokoju: „*Ciocia! Ciocia! Ja też chcę Cię podrapać*”. Mąż śmiał się, że wyglądamy jak rodzina szympansov! Choć takie zachowania mogą zdawać się ludziom dystyngowanym dziwne, to właśnie one pozwalają nam cementować rodzinę i tworzyć prawdziwą, kochającą się rodzinę.

Marzenia.....

Co wart jest człowiek bez marzeń? Naszym jest zamieszkać w domu. W domu w którym będą cztery schodki, a nie czwarte piętro. Marzy nam się rodzinny samochód dla dziewięciu osób, abyśmy mogli pokazać dzieciom jak piękna jest nasza Polska. Same nie chcą nigdzie wyjeżdżać. Moje dorosłe już dzieci pomagają nam jak tylko mogą i potrafią. Syn często rozwozi za męża prasę, choć sam pracuje. To właśnie ten syn, mając pięć lat był ze mną u swojej babci, a mojej teściowej. Pojawiła się Pani sprzedająca złotą biżuterię. Babcia oglądała i wybierała, a ja siedziałam przy stole trzymając Piotrusia na kolanach. Synek widząc, że nic nie kupuję oświadczył: „*Nie martw*

*się mamusia! Jak dorosnę to kupię Ci złote majtochy!!!*” Czy to właśnie nie jest ta wielka miłość i chęć sprawienia przyjemności drugiej osobie? Choćby były to serdeczne życzenia małego dziecka, to z całego serca pragnęłam, aby wszystkie moje dzieci było stać na posiadanie tego o czym tylko marzą. Z tego powodu uważam, że obecnie najważniejsze są korepetycje Szymka i Grzesia z języka angielskiego. Przyniosły one zdecydowane efekty.

Szymek zdał maturę jako drugi w swym liceum, spośród wszystkich uczniów zdających przedmioty w stopniu podstawowym, a w październiku rozpoczyna studia w państwowej uczelni w Płocku, jako student filologii angielskiej, natomiast Grześ kończąc naukę w gimnazjum zdecydowanie poprzył swe wyniki i rozpoczął nowy rok szkolny jako uczeń liceum o profilu zarządzanie informacją. Jeśli chodzi Maćka to jest on już uczniem pierwszej klasy gimnazjum, zaś Beata uczęszcza do V klasy szkoły specjalnej. Wojtkowi udało się ponownie uruchomić naukę w systemie indywidualnym.

Bardzo kochamy wszystkie dzieci i ile tylko starczy nam sił będziemy im pomagać, niezależnie od tego, jaka opcja będzie rządzić Polską. To co robimy, robimy z myślą o naszej ojczyźnie i jej największym skarbie, jakim są dzieci! Czujemy się dumni z wykonywanej pracy i cieszymy się, że możemy choć w niewielkim stopniu podzielić się z kimś naszymi przeżyciami i doświadczeniami, przekazać cząstkę tego, jak bardzo ważna jest nasza rola.

*Opowiadała Rodzina Zastępcza z województwa łódzkiego*